

WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Dzieci i Młodzieży.



CZTERY PORY DNIA.

II.

*Uroczę południe —
Lśni słońce przecudnie,
I blaskiem od góry
Wysrebrza lazury.*

* * *

*Już stoją bez cienia,
Jak blizkie omdlenia,
Gaj, siło i wzgórki —
Na niebie ni chmurki...*

* * *

*Umilknął gwar w śpiewie,
Liść nie drgnie na drzewie —
I cisza wskroś biała
Potoki rozlała.*

* * *

*Znój w polu aż mroczy,
Ruch stanął roboczy —
I praca z rąk koła
Ociera pot z czoła.*

* * *

*A słońce żar leje —
I ludzkie nadzieje,
Gdzie znojna tkwi praca —
Blaskami wyłata.*

Józef Jankowski.

Daniel Chodowiecki.

Jedną z najsmutniejszych naszych przywar jest to, że nie umieliśmy nigdy cenić tego co nasze. Każda rzecz zagraniczna ma zawsze w naszych oczach większą wartość niż swojska, choćby nawet ta swojska była daleko lepszą. Nie poprzestając na rzeczach, nie cenimy własnych artystów, nie dowierzamy ich talentowi, jeśli go nie uznają obcy. Tak działo się dawniej, niestety tak dzieje się dziś jeszcze. Cóż więc dziwnego, że nasi artyści musieli zaw sze u tych obcych szukać chleba i że w następstwie uważano ich nieraz za członków społeczeństwa, dla którego pracowali.

Tak było z rozgłośnym naszym malarzem i rysownikiem Danielem Chodowieckim urodzonym w Gdańsku roku 1726, który umarł w Berlinie r. 1801 jako dyrektor akademii berlińskiej.

Chodowiecki jednak nie tylko był Polakiem ale szczycił się z tego, jak to widać z listu, który pisał do Jana Łęskiego, prof. astronomii w Krakowie, upominając się o swoją narodowość, „Kiedy W. Pan Dobr. zechcesz mię liczyć do Polaków, których rodzice w Niemczech osiedli, to mię krzywdzisz, bo tym sposobem nie byłbym Polakiem, lecz Niemcem, a ja sobie zaszczyt czynię być prawdziwym Polakiem, chociażem w Niemczech osiadł.” Dalej w tym liście wywodzi Chodowiecki swoją genealogię od Bartłomieja Chodowieckiego swego prapradziada, który był ziemianinem wielkopolskim, a wreszcie dodaje, że on jest pierwszym z Chodowieckich, który w Niemczech osiadł.

Ojciec jego handlował zbożem i syna kształcił w swoim zawodzie. Sam jednak miał już pociąg do sztuki, malował miniatury i nauczył syna tego, co sam umiał pod tym względem. Było to bardzo niewiele, ale zawsze te nauki ojca wpłynęły na usposobienie młodego Daniela. Po jego śmierci chłopiec namiętnie rozkochany w rysunku szukał sposobności, chociaż nie mógł rzucić handlowego zawodu. Kopiował więc tylko ryciny, jakie mu w ręce wpadły, z takim zamiłowaniem, że nieraz po dniu spędzonym w handlu korzennym, w którym praktykował, przerysowywał je przez część nocy i zapiełniał rysunkami skrawki papieru i marginesowych książek.

Wpadł mu wówczas w ręce ryciny znakomitego artysty Calot'a i ten wywarł na niego wpływ wielki. Widać z tego, że miał smak dobry, który zwykle idzie w parze z talentem, skoro wśród wielu wzorów, naśladował to co było najlepsze.

Można powiedzieć, że Chodowiecki był długi czas samoukiem, wszystko, doczego doszedł, zawdzięczał niezmordowanej pracy.

Miał lat 16, kiedy matka wysłała go do wuja, mieszkającego w Berlinie. tutaj oddawał się dalej zawodowi handlowemu, wszystek czas wolny poświęcając ulubionej sztuce. W owym czasie przecież nie było to rzeczą łatwą, bo nawet galerie obrazów dość, zresztą ubogie w Berlinie w owej epoce, nie były dla publiczności dostępne.

Dopiero po dziesięciu latach pobytu u wuja, a straconych dla sztuki, spotkał się w jego domu z malarzem Hayd'em, nie zbyt sławnym ale znającym gruntownie rysunek i dobrym emalierem. Od niego to dowiedział się Chodowiecki, jak wielkiej nauki potrzebuje malarz. Hayd stał się jego mistrzem, a wkrótce pojętny uczeń przeszedł go i zostawił daleko poza sobą.

Po roku tej znajomości, Chodowiecki porzucił handel i oddał się koniecznym studjom, dzięki którym stał się jednym z pierwszych artystów swego czasu. Nie poprzestawał na samej nauce rysunku i malarstwa, rozumiał potrzebę wszechstronnego wykształcenia, czytał wiele, studiował język niemiecki i francuski. Poznał się też z wy-

bitniejszymi artystami. Nauka niemieckiego języka jest najlepszym dowodem, że nie tylko z rodu ale i wychowania nasz artysta był Polakiem.

Jak wielu malarzy XVIII stulecia, malował Chodowiecki najchętniej i najlepiej sceny z życia domowego i oddawał je z wielkiem odczuciem i naturalnością. Najsławniejszem jego utworem jest „Pożegnanie Callas'a z rodziną.” Jest to obraz głęboko wzruszający. Uczciwy, szanowany powszechnie człowiek, otoczony rodziną, przedstawiony jest w chwili, kiedy w skutek niesprawiedliwego oskarżenia ma być uwięziony. W czasie gdy wiezienny sługa, nakłada mu na nogi kajdany, żona i córka Callas'a obejmują go z rozpaczą, syn pochyla się i ze czcią całuje mu rękę, a domownicy trzeźwią starą matkę, która omdlała na widok syna w kajdanach. Inne znane obrazy naszego mistrza jak: „Ślepa babka,” „Kobieta przy gotowalni” nie miały już tej doniosłości, co Uwięzienie Callas'a, które rytowane przez swego twórcę, rozeszło się w tysiącach egzemplarzy. Nie poprzestając na malarstwie, Chodowiecki był jednym z najznakomitszych rytowników swojego czasu, tak dalece, że prawie wszystkie cenniejsze wydawnictwa w Niemczech ozdobione były jego rycinami. On to ilustrował słynne dzieło Lavatera o fizjognomiach ludzkich.

Głównymi cechami naszego artysty były: żywa wyobraźnia, wielka oryginalność, znajomość natury i charakterów, przy niezmierniej sumienności wykonania. Utwory jego czyniły wielkie wrażenie i zawierały nieraz głęboką moralną naukę. Pod tym względem Chodowiecki ma pewne pokrewieństwo z Hogarthem, bardzo popularnym malarzem i rytownikiem angielskim, który kilka cykli rycin, poświęcił rozmaitym usterkom społecznym.

Chodowiecki był jednak łagodniejszym od Hogartha, unikał scen gwałtownych, okrutnych bólek, pijatyk, które ten ostatni z taką prawdą oddawał. Takie sceny sprzeciwiały się usposobieniu naszego ziomka, który słynął ze swej dobroci, cnót rodzinnych i pogody z jaką znosił dołę, nie zawsze odpowiednią jego zdolnościom i niezmordowanej pracy.

Los artystów w owej epoce w Berlinie wcale nie był godnym zazdrości, a w rodzinnym kraju Chodowiecki obarczony liczną rodziną, miał mniejsze jeszcze szanse powodzenia. Walczył więc wytrwale z biedą i długami, które trapiły go przez lat wiele, a dopiero na cztery lata przed śmiercią, jako dyrektor akademii berlińskiej, osiągnął należne sobie stanowisko.

Chodowiecki pomimo to pomagał zawsze całej swej rodzinie, pamiętał o każdej nędzy. Matkę obsypywał podarunkami, zajmował się losem rodzeństwa. Wbrew zaś zwykłemu fantastycznemu usposobieniu wielu artystów, był wzorem akuracności. Każde zamówienie wykonywał według obietnicy, na każdy list odpisywał natychmiast, starał się też zawsze każdemu dopomóc wedle możliwości radą i datkiem. Wchodził w potrzeby i pragnienia bliźnich. Opowiadają, iż raz ubogi nauczyciel napisał do niego, wyrażając swoje uwielbienie oraz żal, że nie może mieć ciągle przed oczyma dzieł jego, jakby tego pragnął. Chodowiecki posłał mu zbiór swoich rycin.

Artysta pracował niemal do chwili śmierci, znosząc z rezygnacją i spokojem cierpienia, sprawiane chorobą, jak znosił wszelkie dolegliwości życia.

Szkoda wielka, że ta piękna i szlachetna postać, tak mało jest u nas znana. Chodowiecki łączył w sobie serdeczność, dobroć i wspaniałość właściwe naszemu narodowi dowodził tem, że był prawdziwym Polakiem, ale od społeczeństwa wśród którego żył, nauczył się akuracności i pracy, które pozwalały jego przymiotom rozwinąć się w całym blasku i dały mu wreszcie możność czynienia zadość popędowi serca. W sto lat po jego zgonie święcimy mu to spóźnione wspomnienie!

Walerya Marréné Morzkowska.

Zofia Urbanowska.

RÓŻA BEZ KOLCÓW.

Opowiadanie osnute na tle przyrody tatrzańskiej.

(Dalszy ciąg)

Dr. Strand spuścił głowę: wiedział on, że żadne wypieranie się, żadne tłumaczenie na nic się tu nie przyda, bo wszystko świadczyło przeciwko niemu. Któż uwierzy w jego niewinność w obec tej nieszczęsnej wstążki, którą szatan chyba rzucił na jego drodze i której dotąd, mimo tylkokrotnych usiłowań, pozbyć się nie zdołał. Ale kto to wyszpiewował i jakim sposobem! Nikt inny, tylko ten łobuz Witold. Nawet w obec Fanny wszystko było stracone! Jakże śmiesznym wydawać jej się musi, jak zuchwałym, on, starzec prawie, noszący barwy młodego dziewczęcia, niby rycerz średniowieczny!.. Nie śmiał oczu podnieść, ani na nią, ani na baroneta, ani na innych świadków tej sceny. Trzymał w rękach słoik z upragnionym *Brachiopodem*, nie widząc go nawet. Czuł, że jest zgubiony w opinii wszystkich, zgubiony niepowrotnie.

Fanny ze współczuciem patrzała na nieszczęśliwego człowieka, a domyślając się, że stał się jak zwykle ofiarą własnego roztargnienia i mimowoli wpadł w pułapkę, uczuła żal do obecnych, że bawili się kosztem jej starego przyjaciela — i zwracając się doń, przemówiła serdecznie:

— Panie profesorze, niech się pan uspokoi: ja wcale nie myślę iść za męża. Mój opiekun nie bierze tego wszystkiego na seryo i ci panowie tylko żartowali. Z mojej to winy stała się ta przykra dla pana omyłka: powinnam była pomódz panu, zmienić niewygodną pozycję, gdy właśnie nadchodzili.

— Tak, kochany profesorze, nie będę pana zmuszał do zaślubienia mej kuzynki, skoro jej nie chcesz, nie obawiaj się; ale za to, skoro już masz swego *Brachiopoda*, chodź z nami. Jedziemy wszyscy na drugą stronę jeziora, bo chcemy się dostać do prawdziwego Morskiego Oka, znajdującego się tam wyżej. Tratwa gotowa do przewozu. A ty Fanny, czy chcesz także pojechać?

— Nie mogę sir, milady jeszcze nie wstała.

— Biedne dziecko! — powiedział ze współczuciem baronet. — Spiesz się pan, panie profesorze, bo jedziemy zaraz.

Profesor nie odpowiedział: przybity i zgnębiony, włókł się ku schronisku i zniknął w sieni.

— Gdzież pan idziesz? — wołał za nim Warburton — siadamy na tratwę!

Strand pokazał słoik z *Brachiopodem*, dając tem do zrozumienia, że musi tę cenną zdobycz w bezpiecznem miejscu zachować.

Warburton, Jakób, Witold, Henryk i Walter z Dawidem, któremu jeszcze kleiły się oczy, weszli na statek, gdzie już znajdowało się kilkunastu podróżnych: dwóch Węgrów i kilku Czechów. Siadłszy na ławie rozmawiali, czekając na profesora.

— Zdaje mi się, że nasz uczony ma do nas urazę za żart — powiedział baronet.

— Nie nasza wina żeśmy go zastali w pozycji tak... wymownej — odrzekł, śmiejąc się Jakób. — Niech tylko przyjdzie do nas, a przeprosimy go; to dobry człowiek i jestem pewny, że nie będzie długo chował w sercu urazy. Zresztą uspokoiła go już miss Fanny, i wie że mu hymen nie grozi. Hm... niech mi jednak kto wytłumaczy, co znać była ta wstążka z którą nie rozstawał się od dwóch tygodni!

— Roztargnienie, nic innego tylko roztargnienie — powiedział Warburton.

— Może ją uważał za przedmiot stroju damy przedhistorycznej — wtrącił śmiejąc się Witold.

Ze środka jeziora zniknęła ciemność, a dno jego, jakby oświetlone lampą elektryczną, rzuciło do koła promienie, patrząc na podróżnych wielką, pełną blasku żreńcą. Czekano na profesora, ale upływały minuty, kwadransy, a on nie nadchodził. Współpasażerowie niecierpili się i przewoźnicy chcieli już odbijać, bo dużo osób jeszcze czekało na przewóz, tratwa zaś była tylko jedna na usługi turystów, ale Warburton zatrzymał jeszcze statek i posłał Henryka do Stranda. Chłopiec wrócił po chwili sam, mówiąc, że profesor prosi, aby odpłynęli bez niego, a on wkrótce pospieszy do nich brzegiem jeziora: woli bowiem dostać się tam łodem niż wodą.

— Skąd się wziął profesorowi ten wstręt do wody — powiedział, kręcąc głową baronet.

— Pewnie się na nas pogniwał — odrzekł Jakób.

Wiosła plusnęły i tratwa odbiła od brzegu; miała ona kształt podłużny i dwie baryery po bokach, aby siedzący na ławach, przechylwszy się przypadkiem, nie wpadli w wodę. Współpasażerowie zaczęli rozmawiać półgłosem, czyniąc różne uwagi. Węgrzy, gorętszym obdarzeni przez naturę temperamentem, wyrażali głośno swój zachwyt, Czesi z większym odzywali się umiarkowaniem, ale widać było po nich, że Morskie Oko wielkie na nich zrobiło wrażenie. Baronet milcząc palił cygaro.

Jeden z nich zaczął mówić z zapalem o Karkonoszach, o Lesie czeskim i o Szumawie, i narzekać że wszędzie gęsto leżą siedziby niemieckie. Tatry nazwał „Alpami słowiańskimi” i dodał, że tu Czech czuje się więcej swojsko niż we własnych górach, bo przynajmniej z Niemcami nie spotyka się na każdym kroku. Ztąd przeszła rozmowa na Jellinkę, rozkochanego w Tatrach i umiętego budzić miłość między swemi do Alp słowiańskich, a Jakób wielki miłośnik poezji i muzyki, ujął sobie bardzo Czechów, unosząc się nad pięknością ich pieśni narodowych, a mianowicie nad pieśnią: „Kde domow muj.”

Henryk, którego uwagi nie uszedł żaden szczegół, patrząc na płaty śniegu w szczelinach skał, miejscami zaróżowione skorzystał z przerwy w romowie i zwrócił się do Jakóba, pytając, skąd pochodzi czerwona barwa śniegu.

— Słońce — mówił — umalować go jeszcze nie mogło, bo cień właśnie pada na niego w tej chwili. Czyżby tam były jakie żyjące istoty? Ja myślałem, że tak wysoko jest już kres życia roślinnego i zwierzęcego?

— Nie — odrzekł doktor — życie, acz słabe, jest tam jeszcze: Śniegi wieczne zabarwiają na czerwono owe drobne roślinki jednokomórkowe, o których ci wspomniałem na szczycie Krzyżnego, wyglądające jak kuleczki *Hae-matococcus lacustris* Rfski, albo znów inne *Chlamydomonas fluovirens* na kolor zielonawo-żółty. A co do zwierząt, to po śniegach wiecznych napotkać można *Pchlicę* śniegową *Deegrie nivalis*. Pchły te jednakże nie kłusają.

— Choćby i chciały kłusować, to niemają kogo — mruknął Witold. — Uprawiają one cnotę z potrzeby — a Henryk odezwał się:

— Słyszałem, że tam pod Mnichem istnieje rozpadlina, a w niej skarby zakłete.

— A ja sądzę — odrzekł Walter — że w skałach tych są naprawdę skarby, nie koniecznie zakłete, ale rzeczywiste, pod postacią kruszców i minerałów, które z czasem dopiero zostaną odkryte.

Witold uśmiechnął się z goryczą i zacytował wiersz Konopnickiej:

„Bogataś ziemio nasza,
Oj bogata!

Złota się strzechą świeci
Kaźda chata;

Szmaragdy cichych lasów —
Wód kryształ —

Kwiatów dyademy żywe
Cię przybrały.
A perel masz najwięcej,
Jasna pani:
Z oczów naszych tobie płyną
W ciągłej dani!”

Warburton słuchał: snać nizki, melodyjny głos Witolda sprawiał mu przyjemność, bo słów w obcym dla niego mówionych języku, rozumieć nie mógł. Walter zapytał go o coś, ale zamyślił się tak bardzo, że go nie słyszał. Utkwił wzrok nieruchomo w wody jeziora i nie uważał, że cygaro zgasało mu zupełnie. Muzyka zaczęła stroić instrumenta, a Warburton przeniosłszy wzrok z powierzchni wody na brzeg jeziora zatrzymał go na jakimś przedmiocie i wskazując ręką w tym kierunku, zapytał:

— Czy to nie profesor Strand? Patrzcie panowie! Zdaje mi się, że wyszedł ze schroniska i idzie brzegiem.

— Nie — odrzekł Jakób — profesor nie nosi góralskiego kapelusza z czerwonym piórem, ani czuhy.

— To Sabala! — zawołali górale.



Morskie Oko.

— Sabala? — zdziwił się baronet — więc on tu jest? Nic o tem nie wiedziałem!

— Przyszedł dziś w nocy, a teraz idzie pod skałę mówić pacierz.

— A prawda — powiedział Walter — klęka, zdejmuj kapelusz i ciupagę kładzie przy sobie na ziemi. Przeżegnał się.

— Sabala jest po swojemu pobożny — rzekł Jakób — i po swojemu pojmuje Pana Boga. Wyobraża Go sobie jako bogatego gazdę, a podobieństwo to doprowadza do najdrobniejszych szczegółów. Pan Bóg według Sabaly ma ubranie góralskie, a więc nosi też torbę góralską, a w niej składak,¹⁾ ma w niebie chałupę całą cyfrowaną, z ławami po pod okna bogato rzeźbionymi; osobiście piękny jest sozrab. Gazdostwo ma duże, to też pomagają mu w zarządzie aniołowie, „boby se ta sam rady nie dał.” Jako mądry gazda, chodzi, dogląda roboty i zachęca do pracy. Matkę Boską przedstawia sobie też, jako nadzwyczaj dobrą i sprawiedliwą gaździnę, która wszystkiemu roztropnie na czas zarządzić umie i nawet trudny podział sprawiedliwie skutecznie potrafi. Raz spiesząc się bardzo do doktora Chałubińskiego, który mu u siebie stawić się przykazał, wstąpił na

chwilę do kościoła i zmówił tylko pacierzy dwa, a zmówiwszy je, tak ofiarował:

„Okwiarujęm tyż ten paciorek Najświęcej Paniency Maryjce, Paniezusowi i Świętemu Janowi patruniowi. Ale ik tyż bars piknie przypytujęm,²⁾ bo tez pacioreczków ino dwoje, a ik do podziału troje — haj. Tu by trza zmówić dla świętego Jana jeden, a tam pan Wielkomożny³⁾ będzie się ciskał ze mnie nima. Ale wiem co robiem. Ja też to okwiarujęm Najświęcej Paniency Maryjce, a Ona ta sikkik dobrze do równości podzieli i nikomu krzywdy nijakiej nie zrobi, haj.”

Warburton uśmiechnął się i nie spuszczał oczu z postaci białowłosego starca, klęczącego ciągle ze złożonymi rękami, a Henryk odezwał się:

— Sabala daje nam przykład. Zaśpiewajmy także jaką pieśń pobożną, na podziękowanie Panu Bogu za ten cudny wschód słońca, który nam dano było oglądać

— Dobra myśl — odrzekł Jakób, spojrzawszy przełotnie na Anglika — spróbujmy. I zaśpiewał.

„Serdeczna Matko, Opiekunko ludzi,⁴⁾
Niech cię płacz sierot do litości wzbudzi!
Do Ciebie Ewy wygnańcy wołamy,
Zmiluj się, zmiluj, niech się nie tułamy!”

Umilkły instrumenta, do głosu Jakóba, który miał piękny alt, przyłączyły się głosy Henryka i Witolda, tenor i bas. Pieśń na trzy głosy płynęła po wodzie czysta i spokojna, wstrząsająca melodyą prostą a głęboką, niby korna prośba dzieci wznosząca się przed tron Ojca, stopniowo coraz wyżej i wyżej, a wysokie ściany skał nie pozwalające rozpraszać się dźwiękom daleko, dawały tej oryginalnej sali koncertowej doskonałą akustyczność.

„Do kogoż wzdychać mamy nędzne dziatki,
Tylko do Ciebie ukochanej Matki
U której serce otwarte każdemu,
A osobiście nędzą strapionemu.

Zasłużyliśmy, to prawda, przez złości,
By Bóg nas karał plagą surowości,
Lecz kiedy Ojciec zagniewany siecze,
Szczęśliwy, kto się do Matki uciecze.”

Anglik drgnął przy pierwszych dźwiękach pieśni, a potem na twarzy jego rozlała się kamienna nieruchomość. Walter siedzący przy nim dotknął z lekka jego ręki: była zimna jak lód.

— Sir Edwardzie — przemówił łagodnie — cygaro znów panu zgasało.

— A... prawda — rzekł, jakby ze snu przebudzony — i z roztargnieniem zapytał. — Czy daleko jeszcze do brzegu?

— Już nie daleko.

— A profesor Strand?

— Nie widać go nigdzie.

— Nie widzę także Sabaly.

— Skończył pieśń i wrócił pewnie do schroniska.

(d. c. n.)

Z dziennika Janka Ż.

(Dalszy ciąg).

De Wett zajmował na fermie osobny pokój, chociaż mieszkanie pana Van Riemeny składało się tylko z trzech izb, belkowanych u sufitu i z klepiskiem zamiast podłogi.

¹⁾ Kozik. ²⁾ Proszę. ³⁾ Chałubiński.

nia. Przytem płynąc łodzią, oszczędzam pieniędzy, a za przejazd koleją trzeba płacić. Tylko kolej dowiozłaby mnie prędzej.

Tak tęsknię, tak ciężko mi na sercu. Ciężej z dniem każdym, a posuwam się coraz wolniej na płytkich, zamulonych wodach.

(d. c. n.)



PANICZYK

przez

Z. Morawską.

(Dalszy ciąg).

X. Zakończenie.

Pani Chrustowska przez cały tydzień walczyła ze śmiercią, potem przychodziła nader powoli rekonwalescencją. Święta szkolne Bożego Narodzenia minęły, zaledwie była nadzieja życia.

Cała rodzina spoglądała ze zdziwieniem na jej twarz wynędzniałą, Józio wszystkie chwile wolne od lekcji przepędzał u matki, gdy było gorzej nie chodził do klasy, gdy zaś poszedł, myśli nie mógł zebrać, klasa, szkoły, koledzy, wszystko to dlań nie istniało, był cały przy ukochanej matce. Zazdrościł nieledwie Hani i pannie Marcie, że mogły być w każdej chwili przy niej, otaczać ją staraniem i pieczołowitością.

— Jesteśmy obaj wydziedziczeni! — mówił raz z żalem do ojca, nie zawsze nam wolno wejść do pokoju matki.

— Byle ja nam Bóg zachował, banicyę jakoś zniesiemy! — mówił ojciec. — Trudy około chorej są tak skomplikowane, że tylko doktor specjalista lub kobieta może im podolać, my jesteśmy wprost do tego niezdarni! — dodał.

W chwili jakiegoś pogorszenia a więc i większej troski, nauczyciel grecki „wyrwał” Józia.

— Nie przygotowany — odpowiedział przez ściśnięte gardło.

Bo jakkolwiek uczył się wczoraj, w tej chwili nie mógł sobie zdać sprawy z niczego.

— Czemu? — zapytał nauczyciel.

— Matka mi bardzo chora.

— Hm, hm! — pokręcił głową nauczyciel i spoglądał na listę, w której obok nazwiska „Chrustowski” świeciło kilkakrotnie: „Nieobecny.”

Za jakiś tydzień tenże sam nauczyciel zawołał:

— Chrustowski Józef!

— Nieobecny! — odrzekł Nikodem Arbuzowski, który był obecnie prymusem.

— Cóż on w tym kwartale tak opuszcza! — mruknął jakby do siebie nauczyciel.

— Karnawał! — szepnął Arbuzowski, lecz takim szepem, że go nauczyciel usłyszał.

— Matka mu bardzo chora! — ozwał się głos z głębi sali.

Nauczyciel zajęty myślą o pytaniu, które miał zadać innemu, nie usłyszał tego głosu.

Za to Nikodem ilekroć mógł wcisnąć się do kancelarii, zawsze umiał obok nazwiska Józia wcisnąć:

— Karnawał! baliki!

Że zaś był to początek lutego i młodzież z wyższych klas często pozwalała sobie na rozmaite zabawy, nauczyciele łatwo mogli uwierzyć, że Józio uległ również rozwichronemu bożkowi karnawału.

— Jak też ta młodzież się psuje; z takiego porządnego ucznia, wyszedł snąć na salonowego frotera! — mówiono w nauczycielskiem gremium.

— Paniczyk! — dodawał urzędnik kancelaryjny, któremu Józio jakoś nie przypadł do serca.

Lecz od połowy lutego, gdy matce lepiej się zrobiło, Józio wszedł w zwykły tryb życia. Oczy mu napowrót błyszczały radością, lekcye opuszczone połapał jakoś i myśl wesoła zastąpiła owe smutne, pełne gorczy, które przeszło półtora miesiąca trapiły jego umysł i serce.

Leon i Antek oraz Zygmunt i Jan, dwóch bliżej z Józkiem żyjących, widząc jego strapienie, dali mu dowód wielkiego koleżeństwa, nie bywali nigdzie na wieczorkach.

— Uważacie — mówił Leon — albo się jest w przyjaźni, albo nie!

— Tak, tak, naszym hasłem: „Wszyscy za jednego, jeden za wszystkich” — mówił Antek.

— I jak postanowili, tak spełnili. Józio rozrzewniony był tą ich dobrocią, opowiadał o tem matce i Hani, która rzekła:

— Gdy mama będzie zdrowsza, zaprezentujesz nam swoich przyjaciół!

— Aha! ciekawaś ich poznać!

— Szlachetnych ludzi każdy chce poznać! — odrzekła z powagą panienka.

Uśmiechnęła się na to panna Marta i spojrzała porozumiewająco na panią Chrustowską, która już o tyle przyszła do zdrowia, że z Domu Zdrowia przenieśli ją do wynajętego mieszkania, gdzie już do końca zimy miała pozostać.

— Gdybym była dość silna, zaprosiłabym tych pocztowych chłopców, ażeby im podziękować i wyprawiła wam w ostatki wieczorek.

— Oho, na to nie pozwolimy! — ozwały się odrazu dwa głosy, a panna Marta spojrzała z radością na dzieci swoich przyjaciół.

— Tutaj niepodobna — dodała — zanadto by to pannie zmęczyło.

Po odejściu jednak Józia uradziły wspólnie żeby Józio u pani Tamkowskiej urządził wieczorek dla kolegów.

Pan Chrustowski po przybyciu ze wsi chętnie zgodził się na ten projekt, mówiąc:

— Nawet i ja się zapraszam na ten festyn.

— Co za szkoda, żem ja nie chłopiec! — rzekła Hania.

— Bez panien wieczór tańczący się nie uda! — rzekła matka. — Jest Antosiowa z Anielką i kilka jeszcze kuzynek i znajomych, uprosimy ich, że pozwolą swym córkom.

Hania podskoczyła i ucałowała matkę.

— Nie byłam jeszcze nigdy na wieczorku tańczącym. — zawołała.

— Jakto, u nas tyle razy tańczono. — rzekła matka.

— I w sąsiedztwie — dodała panna Marta.

— No, tak, ale to było tak sobie, zresztą, byłam dzieckiem!

— A teraz? — spytał ojciec.

— Teraz... no, teraz jeszcze nie jestem zupełnie dorosłą, ale kończę już rok piętnasty! — rzekła panienka, podnosząc główkę do góry.

W głowach zaś gimnazystów szumiało od rozmaitych projektów, które miały przeciąć wszelkie nierozstrzygnięte dotąd zagadnienia świata. Obok pilnej nauki snuły się myśli o wynalazkach, które miały uszczęśliwić ludzkość, popchnąć ją na nowe tory, o jakich się ani starożytnym mędrcom, ani nowożytnym filozofom nigdy nie śniło.

Dążności i cele związane z nauką, z teraźniejszym ich życiem, skrzę się nieokiełznana i nieujętą fantazją, chęcią do życia, którego zaledwie mają słabe poczucie. A wśród

tego wszystkiego drżą do zabawy, do wesołości, i wir jakiś bezwiednie prawie ich porywa, kołysząc w tę lub ową stronę, póki nie uchwycą liny, która się zwie twardą, rzeczywistą pracą.

Najróżnorodniejsze myśli rozsądziłyby im czaszki, gdyby się nie wypowiedzieli w długich gawędach; rozparły pierś, gdyby nie wywirowały w walcu, nie uleciały w rażnym hołupcu mazura lub floresie ślizgawkowym. Trzeba im więc ruchu fizycznego, zabawy, ażeby się utrzymać w należytej równowadze.

Na stancyi u pani Tamkowskiej mieszkała zwykle młodzież zamożna, która jednak, przyznać należy, przodowała nie tylko zamożnością, lecz nauką i koleżeństwem.

Józef Chrustowski cieszył się nie tylko sympatją lecz i pewnem poważaniem kolegów. Do niego też najczęściej schodzili się, ażeby się wygadać.

Raz z powodu, że jeden z ubogich kolegów utracił korzystną korepetycję, wzburzenie było niezwykle. Naradzano się, jakimby sposobem „wytrzasnąć” jak najprędzej inną, narzekając przytem, że świat nie umie ocenić pracy.

— To są truposze, kretyni! — wołał Antek, rzucając książkę o stół.

— To samoluby! przez miłość własnego ja, odbierają kęs chleba tym, którzy w przyszłości mają stanąć na czele rozumnego społeczeństwa! — wołał Józio.

— Uważacie, każdy powinien żyć dla idei! inaczej jest bryłą, mniej niż bryłą! — wołał Leon.

I począł:

„Patrz, jak na jej wody trupie
Wzbił się jakiś płaz w skorupie!

— Odpowiem wam na to — zawołał Antek.

„Tam sięgaj, gdzie wzrok nie sięga,
Łam, czego rozum nie łamie...”

— „Hej ramię do ramienia!” — krzyknął swym potężnym basem Zygmunt i podniósłszy rękę do góry, parodyował na swój sposób:

Wykrzeszmy choćby z kamienia
Skrzypiciela czy basistę.
I jak przystało zaiste,
W poniedziałek lub we wtorek
Zróbmy taneczny wieczorek!

— Brawo, brawissimo Sigismondo! — zawołano zgodnie, zapominając o wszelkiej poważnej gawędzie.

— W górę pana brata! — krzyczano.

— Uważacie, pyszna myśl, Józie! — zawołał Leon.

— Ram, ta, ra, ra! ram, tam, tam! — odpowiedział Józio, wybijając hołupca!

Antek zaś, skłoniwszy się z gracyą przed stojącym w kącie krzesłem, mówił:

— Czy mogę panią prosić do pierwszego kadryla?

(d. c. n.)

SZARADA.

uł. Maryla.

Pierwsze to jedna skromna litera

Którą alfabet każdy zawiera.

Drugie, że słodkie lubią go dzieci

I mucha nawet chętnie doń leci,

Choć to dlań zguba; nawet przysłowie

O nim i muszce jest w naszej mowie.

Szklistą wód wstęgą płynie znów *trzecie*

W jednym z piękniejszych krajów na świecie,

A *wszystko* miasto, co z handlu słynie

W Azji, Syryjskiej pięknej krainie.

ZADANIE KONIKOWE.

Dla czyteln. „Wieczorów” Charlemagne.

po	da	i	to	czar	ły	da	wo
ne	rze	o	rzę	wo	da	ne	sta
mi	ki	nad	ich	nią	bi	i	to
twa	mar	o	ła	bie	nią	stą	nad
ne	wo	gly	przej	od	ki	prze	przej
ich	ła	kształt	bło	i	rzy	wo	czy
dą	czar	od	stą	ką	wiel	rzy	stą
bi	ły	wiel	ką	stą	czy	i	dą

ROZWIĄZANIA DO N-ru 18-go.

Szarady: Ma — jów — ki.

Łamigłówki sylabowej:

- 1) Jamnik. 2) Alkohol. 3) Normandowie. 4) Kirchholm.
5) Ormianie. 6) Ceylon. 7) Hastings. 8) Altaj. 9) Nastureya.
10) Oktawian. 11) Wizytki. 12) Solec. 13) Kanarek. 14) Iloci.

Jan Kochanowski — Klemens Janicki.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

W Austrii rocznie koron 13. — W Prusach: rocznie mar. 12.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Cztery pory dnia. II. Południe, wiersz przez Józefa Jankowskiego (z ryc.) — Daniel Chodowiecki przez W. Marréné Morzkowską. — Róża bez kolców, opowiadanie osnute na tle przyrody tatrzańskiej przez Zofię Urbanowską. — Z dziennika Janka Ż. — Paniczek, przez Z. Morawską. — Łamigłówki i rozwiązania. — Dodatek: Sprawozdanie z konkursu kaligrafii (z ryc.) — O białej owieczce, wiersz przez M. W. — Pogadanki z życia codziennego. Nafta. — Dzieci w podróży. — Łamigłówka i rozwiązania. — Skrzynka do listów. — Dodatek książkowy: Dziedzictwo Karola Wielkiego, powieść historyczna z IX-go wieku, Karola Deslys, przekład z francuskiego M. K.

Redaktorka **Ludwika Hauke.** Дозволено Цензурою. Варшава 28 Апрелья 1901 г. Wydawczyni **Marya z Chomętowskich Balińska.**

W drukarni Noskowskiego, Warecka Nr. 15.

Sprawozdanie z konkursu na kaligrafię.

Prób pisma 310. — Nagród 95.

Wielki konkursowy łup!
Tyle ładnych pisma prób.
Snać młódz dobrze pisać chce,
Gdy tak chętnie próby śle.
A redakcja rada stąd
I ogłasza dziś swój sąd.

Zanim jednak wymienimy listę tych, co zasłużyli na nagrody i pochwały, podajemy kilka uwag i rad tyczących się pisania w ogóle, skreślonych przez osobę, doskonale znającą się na kaligrafii, która brała udział w naszym sądzie.

Kilka rad dla kształcących się w nauce pisania.

„Zaletą każdego pisania jest: równa pochyłość składających go kresek, równa ich odległość i równy przyścis, i ta właśnie zgoda oddzielnych, a harmonijnie z sobą zestawionych cząstek stanowi, że pismo jest pięknem i czytelnem.

Wszelkie dodatki tej zgodzie przeciwnie jak np. często dające się spotykać wyrzucanie strychów w różne strony, nadmierny i niezgadający się z pochyłością przyścis, czynią pismo nieczytelnem i nieprzyjemnem dla oka.

Pismo, ażeby oddawało należyłą usługę, powinno być jeszcze biegłem. Do biegłości w pisaniu, jako też do zastosowania jego dobrych przymiotów, dochodzi się najprędzej i najniezawodniej przez swobodne ułożenie ręki. Swoboda zresztą ręki przy pisaniu jest konieczna, aby ta czynność, która wykonywa się przecież tak małym i lekkim narzędziem, jak pióro, nie była uciążliwą pracą, powodującą zmęczenie, a nieraz i ból ręki, co musi mieć miejsce, jeżeli pisząc utrzymujemy rękę w ustawicznym naprężeniu.

Ogólną wadą młodzieży jest złe trzymanie się przy pisaniu, a wpływa to bardzo ujemnie na prawidłowy rozwój ich młodych organizmów.

Ażeby więc dopomóc czytelnikom „Wieczorów” w przyswajaniu sobie powyżej wymienionych zalet pisma, ażeby oszczędzić im wiele zupełnie nieużytecznego trudu, troszcząc się przytem o ich zdrowie i ich piękną postawę, udzielam im rad następujących:

Pisząc, należy siedzieć prosto, zupełnie swobodnie, z łokciami opartymi na brzegu stołu.

Zeszyt lub arkusz papieru położyć przed sobą ukośnie.

Ręka lewa ma przytrzymywać i przesuwąć papier w górę i nadół, zawsze w kierunku ukośnym.

Prawa, lekko wsparta na małym palcu, z palcami zupełnie swobodnie, jakby na spoczynek złożonemi, pisząc, powinna przesuwąć się poruszeniem od łokcia, nie zaś poruszeniem samej dłoni, jak to powszechnie u dzieci we zwyczaju bywa, a co właśnie stanowi główną przeszkodę w utrzymaniu swobodnego ruchu palców i jest powodem skrzywienia wierszy.

Pióro należy ujmować trzema palcami bardzo swobodnie, bardzo lekko, zupełnie tak samo, jak się chwyta każdy inny mały przedmiot np. łyżkę, szydełko, cukierek, monetę i t. d.

Wodzić je należy ruchem samych tylko palców, a zawsze swobodnie, ze szczególniejszą lekkością.



Nabyte przez niektórych przyzwyczajenie, przeszkadzać może będzie w zastosowaniu tych rad odrazu, dobra wola jednak zrażać się tem nią powinna, a piękne i swobodne pismo w krótkim czasie tę trochę cierpliwości wynagrodzi.

M. S.

A teraz podajemy wynik konkursu:

Nagrody I-go stopnia otrzymują:

Rok 6-y: Rutka Malarek i Niusia Karasińska.

„ 7-y: Jań Mańkowski, Lucia Brzozowska i Kardasz.

Rok 8-y: Julek Kulczycki, Józio Karasiński, Hanula Bieńkowska, Wacława Jagodzińska, Jadzia Odyńcówna, Izidor Dobrański.

Rok 9-ty: Jaskółeczka z nad Narwi, Juraś ze Spiczyniec, Różycka z Podola, Stanisław Łada Łobarzewski, Stokrotka z nad Dniepru, Stefan Wągrowski, Staś Pilawitz i Stefek Kulczycki.

Rok 10-ty: Stasia Wągrowka, Zbyszko, Józef Wieczorek i Zenon-Ryszard Jagodziński.

Rok 11-ty: Izabella Karaśkiewiczówna, Zwinny Jelonek, Pliszka z nad Wołgi i Ludwina Kramsztykówna.

Nagrody II-go stopnia.

Rok 6-y: Emil Reinstajn, Wańdzia M.

Rok 7-y: Ańdzia Leszkiewiczówna, Janek Hixa, Miecio z Niedziałki, Jadwiga Jarzębowska.

Rok 8-y: Marychna Norblinówna, Wicio Groer, Lolo Marchocki, Marcel Lewin, Karola Gościewiczówna, Zochna Ossowska, Wajdawutas, Tadeusz Wasilewski, Genia Malarek, Jerzyk Polamin, Aniela Orlikowska, Jan Wolk i Stefan Rościszewski.

Rok 9-ty: Zosia Brzeska, Witold Terechowicz, Maryńcia Karyszkowska, Zosia z Ciechanowa, Wacław Jędrzejewicz, Władysław Dawidowski, Stefan Norblin, Tomcio Tarnowicz, Inżynier, Zygmunt Reinberg, Bura Mysza, Jadwiga Jędrzejewska, Kazia Dawidowiczówna, Helena Lewkowiczówna, Moryś Wańkowicz i Ruselka (Marysia M.)

Rok 10-ty: Janusz Strzeszewski, Wańdzia Radwan, Krzywonożka, Józef Helbrecht, Ludwik Mańkowski, Ańdzia Ilnicka, Zosia Skibińska, Ulan, Teresa Sobańska, Niezapominajka z nad Utraty, Deda z nad Dździcy, Stanisława Tomczyk, Sokół, Miechowita, Jadwiga Reinstajnowna, Winia Karwicka i Lusja Bieńkiewiczówna.

Rok 11-ty: Janusia Pilawitzówna, Rezeda, Witold Bernhard, Zosia Norblin Wacław Steinman, Stanisław Guerquin, „Nie mam rękopisu,” Helunia Silnicka, Srocza z pod Humania, Sokół litewski, Herod-Baba, Polna Makówka, Felicja Pfefferówna, Zosia Kramsztykówna i Helena Polaminówna.

Na wzmiankę zaszczytną czyli pochwałę zasługują:

Rok 7-y: Stasia Benzełówna, Henryk Woźny, Wacław Łuczak i Czesława Śmieńkiewiczówna.

Rok 8-y: Teodozja Ring, Walenty Millak, Mieczysław Stankiewicz, Napoleonek Latour, Jadwina Dudrewiczówna, Płacząca Brzózka, Józio Boye, Stanisław Maciszewski, Kazio K. z Białegostoku, pani Wróblowa i Kotek Ostrzeniewski.

Rok 9-ty: Nacia J., Zosia Radwanówna, Maryś Choroszcówna, Chichotka, Czarny Bocian, Jaś Marchocki, Zenon Nakonieczny, Sabina Kuźnicka, Maryan Gawęcki, Alinka Hixówna, Ulan z Litwy, Helena z Pańskiej, Witosław Porczyński, Melania Urbankowska, Janina Jankowska, Jurek Prószyński, Manusia Reinberżanka, Henio Furmański, Mania Michalska, Antoś Krahelski, Miecio Konarzewski, Marychna Dziekońska, Mania Odyńcówna, Trawka Leśna, Tola Grujówna, Tola z Gąsocina, Antoś Boglewski, Hasia Kamińska, Witold Rościszewski, Stefan Zawadyka, Lucyna Biernacka, Janinka Szokalska, Janek Machcewicz, Bronisław Suzin, Zygmunt Różycki, Mania Mozolewska.

Rok 10-ty: Jadzia Mareniczówna, Mecie z Odesy, Lilijka z pod Warki, Emilia Olszewska, Żabka z Berlina, Poziomka z Rewuchy, Skowronek z nad Orli, Helena Zylberówna, Jelonek, Alicja Malinowska, Stefania Adamkiewiczówna, Janina Wasilewska, Halka z nad Teterowa, Biała Mysza, Zosia M. z Grodna, Stanisław Makowiecki, Julcia C. z Radomia, Alisia Lesserówna, Jadzia Grabowska, Marya Dawidowiczówna, Romcia Groerówna, Irenka Grabowska, Dora Kostecka, Romcio Liwski, Srebrzysta Wilejka, Lula Morawska, Maruder, Mania z Podola, Jaskółka z nad Wilii, Mila Grujówna, Fala Dniestrzana i Zofia Puławska.

Rok 11-ty: Marychna Ossowska, Imościanka, Makówka, Eunice z Radomia, Janina Łuszczewska, Mania Milewska, Zosia Brzozowska, Zbigniew Rościszewski, Janina Łazowska, Orzeł Białowieżki, Masia z Podola, Teresa Bemka, Kujawianka, Stanisław Rościszewski, Julia Olszewska, Witold Bancer, Pola Szwałówna, Pufcia, Górka Szarotka, Lusja Szydłowska, Boles Korn, Hela Dudrewiczówna, Julia Żmigrodzka, Bronisława Czujówna, Janina Brzezińska, Wodna Trawka, Dorota Braunówna, Jadwiga

Wyganowska, Ańdzia Edelwejsówna, Saulyte, Edward Kaniak, Jędrus z Kościółka, Zulus, Maryjka, Janina Perl, Janinka Lesser, Wiselka, Janinka Marszałkowska, Stokrotka z nad Narwi, Wacław Porczyński, Marusia Kamińska, Rumak stepowy, Gołąbek, Włodzimierz Warpechowski i Janina Kleczkowska.

Oprócz wyżej wymienionych poza konkursem, jako mające skończonych lat 11 (rok 12-ty) i więcej, nadesłały próby *bardzo ładnego pisma*: Zosia z Lisin, Wańdzia Łaszkiewiczówna, Zosia Wojtkiewiczówna, Jaskółka z Jabłonny, Niezapominajka, Wiosenka z Sieniawy, Gałązka Konwalii i Tadzio Grostern. Nie podali swego wieku: Wacław Maciszewski, Ursus, Helena Wołkówna, Cesia Tokarzewski, Natan Szeuiberger i Maryanek Mirkulewicz.

Osobom, mieszkającym poza Warszawą, roześlemy książki, stanowiące nagrody I i II-go stopnia, w ciągu dni dziesięciu. Kto w przeciągu 2 tygodni książki nie otrzyma, zechce zawiadomić nas o tem z załączeniem dokładnego adresu. Nagrodzonych z Warszawy uprzejmie prosimy o zgłoszenie się po nagrody do Redakcji „Wieczorów Rodzinnych” (Mazowiecka Nr. 10).

O białej owieczce.

(Dokończenie).

Ludzie stanęli. Skrzypnęły wrota —
Nasza owieczka tuż koło płota,
Co dalej począć? Tam, na podwórku
Kudłaty piesek leży na murku.

* * *
Co dalej począć? Więc w bek owieczka
— Na co mi była owa wycieczka?
I beczy z cicha — łza z oczu płynie —
Myśli, że pewnie marnie tu zginie.

* * *
Kiedy tak beczy — wtem na próg chatki,
Wyszła dziewczynka obok swej matki,
Stała — słucha — Mamo kochana,
Coś jakby płacze? — mówi zmieszana.

* * *
Mama stanęła i także słucha;
I jej beczenie doszło do ucha,
Idzie do płotu, widzi: zbłąkana
Biała owieczka stoi stroskana.

* * *
Dobra dziewczynka w szarej sukience,
Bierze owieczkę małą na ręce:
Na progu chaty mlekiem ją poi,
Ale owieczka wciąż drżąca stoi.

* * *
Boi się ludzi obcych dokoła,
Myśli, że matka tam pewnie woła,
Myśli, że płacze za swoją córką,
A tutaj ciemne, puste podwórko.

* * *
I choć ją pieści dobra dziewczyna
Choć spać układa koło komina,
Żalem się dzionek jej każdy znaczy,
Ze swojej mamy już nie zobaczy.

* * *

I tak minęło lato. W jesieni,
Bór się listkami z purpury mieni,
Ojciec dziewczynki rzeknie do mamy:
Cudzą my własność w domu trzymamy,

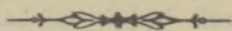
* * *

Darmo pytałem sąsiadów wszędzie:
Nikt się nie zgłasza — a cóż z nią będzie?
Siana mam mało, sprzedam kupcowi,
Pieniądze zwrócę właścicielowi.

* * *

Kupił owieczkę rzeźnik z miasteczka,
Pewnie skończyła byt swój owieczka,
I nigdy więcej już nie ujrzała,
Stada i matki, którą kochała.

M. W.



Pogadanki z życia codziennego.

Nafta.

— Wiesz, Ańdziu, tatuś mówił dziś, że odtąd nie będziemy palili lamp naftowych, bo gospodarz zaprowadził gaz w całej kamienicy. To będzie bardzo miło mieć takie samo światło jak w sklepie.—Dlaczego to nie wszyscy ludzie mają u siebie gaz w mieszkaniu? — spytała Julcia starszej siostry.

— Gaz jest znacznie droższy od nafty i dlatego dziś jeszcze przeważnie używamy nafty.

— A dlaczego gaz jest droższy? — spytała Julcia.

— Wytwarzanie gazu jest kosztowne. Wiesz zapewne, że otrzymuje się on z węgla kamiennego w fabrykach gazu. Naftę zaś wydobywamy z ziemi.

— Znowu z ziemi? Czego już w tej ziemi niemal

— A tak, jest w niej wiele skarbów.

— A skąd się ona w tej ziemi wzięła, moja Ańdziu?

— Wiesz, jak się tworzył węgiel kamienny, bo ci o tem niedawno czytałam.

— Wiem. Wielkie lasy pozapadały się dawno już, dawno w ziemię, tam skamieniały i teraz ludzie je kopią.

— Tak. Otóż uczeni przypuszczają, że nafta powstała z soków tych drzew, co leżą w ziemi. Wiesz przecie, że każda roślina posiada soki. Bardzo łatwo się o tem zresztą przekonać możesz, rozgniótłszy liście w ręku. Otóż i te drzewa, które wówczas przez rozmaite burze i trzęsienie ziemi poprzewracały się i pozapadały w ziemię, także miały owe soki. Otóż, gdy je ziemia przygniotła, sok z nich płynąć począł i płynął sobie, zatrzymując się tu i owdzie w zagłębieniach skał. Ow sok nie jest niczem innem, jak właśnie *olejem skalnym* czyli *naftą*. Co prawda ten olej skalny, który wydobywają z ziemi, mało jest podobny do nafty, jaką widzimy w lampie. Jest on gęsty i szary, gdy tymczasem nafta, jaką lejemy do lampy, jest czysta i bezbarwna.

Naftę wydobywa się z ziemi za pomocą pompowania, potem oczyszcza się ją i sprzedaje do składów.

— Wiesz jednak Ańdziu, że ja wolę światło gazu.

— Tak, tobie więcej gaz się podoba, ale kiedy przed

laty kilkudziesięciu pojawiła się nafta, wszyscy bardzo byli z tego zadowoleni, bo dotąd musieli pracować przy świecach i to nie stearynowych, ale łożowych.

— Prawda. Babcia mi raz raz opowiadała, że jak była mała, to uczyła się przy łożowej świeczce. Bo to ja właśnie wtedy wyrzekałam, że lampa się ciemno pali..

— Ludzie dawniej nie mieli takich wygod, jak teraz. Chociażby i z tem oświetleniem. Niegdyś, dawno, dawno oświetlali swe mieszkanie kawałem zapalonego drzewa, zatkniętego przy ścianie. Potem robili sobie lampy olejne, bardzo proste, coś w rodzaju miski z knotem, który pływał w oliwie. Potem palono świece łożowe, potem dopiero zaczęto używać lamp naftowych, a teraz...

— A teraz pali się gaz... — przerwała Julcia.

— Nietylko gaz. A teatr czy gazem jest oświetlony? A te wielkie lampy, co widzisz jeszcze na Nowym Świecie, na Placu Teatralnym, na...

— Wiem, wiem, to są lampy elektryczne. Ach, to dopiero jest rzeczywiście śliczne! Jasno jak w dzień! Tatuś mówił, że kiedyś, to cała Warszawa będzie oświetlona elektrycznością, i że prawie wszystkie większe miasta mają elektryczność. Ach, jak jabym chciała w takim mieście mieszkać. Wieczorem chodzi się sobie po ulicy, jak w dzień.

— Jakto? chciałabyś mieszkać w innem mieście?

— E, nie. To już wolę się doczekać, aż w Warszawie będzie to piękne światło.

Z. K.



DZIECI W PODRÓŻY.

(Dalszy ciąg).

Po jej wyjściu ojciec Tadzia, pan Korwin, zwraca się do niego i mówi surowo:

— Mówiłem ci już nieraz, Tadzio, że nieładnie jest żartować sobie z takich prostych a poczciwych ludzi. Należy objaśnić ich i dopomóc w trudności, ale nie brać za cel żartów, nawet tak niewinnych, jak ta twoja rozmowa z panią Pawłową Krasuską..

Tadzio zaczerwienił się zawstydzony, a reszta dzieci, zachwyconych przed chwilą jego dowcipem, zmieszała się mocno.

Wszyscy sadowią się jak można najwygodniej w wagonie: Janek i Helenka, nierozłączni jak zwykle, siedzą przy oknie i wyglądają — Tadzio i Janka — „państwo Tadziowie” jak ich nazywa Janek — rozmawiają z sobą bezustannie. Pociąg pędzi szybko, zatrzymując się krótko na stacyach; — upływa godzina jedna i druga, i głód zaczyna się dawać we znaki dzieciom, które ze wzruszenia prawie nie jadły śniadania

— Czy my prędko będziemy jedli? — zapytuje Janek właśnie.

— W Skierniewicach, tam będziemy stali kwadrans — objaśnia go Tadzio, który już dawniej jeździł z rodzicami.

Ale Janek jedzie poraz pierwszy w dalszą podróż. Janek poraz pierwszy będzie jadł na stacyi śniadanie —

Janek jest wzruszony niewymownie, gdy pociąg staje w Skierniewicach, a podróżni, wyskakując z wagonów, biegną do sali na wyjściu.

Obie mamy przytrzymują Janka, aby nie wpadł pod wagony, tak jak jego gąbka — Tadzio bierze go za rękę i prowadzi do bufetu.

Janek otwiera oczy szeroko, zachwycą go długi bez końca stół, ubrany buketami sztucznych traw i doniczkami palm, pozastawiany piramidami butelek, pudełek z cukierkami, talerzami ciastek, i biegający kłusem służący z potrawami na tacach — ale nie zachwycą go ścisk, popychanie, i wołanie mamy i Tadzia:

— Jedz prędzej! Spiesz się! Zaraz jedziemy!

Rozlega się dzwonek; Tadzio porywa znów napół przytomnego Janka i choć nie dojadł tego, co mu położono na talerzu, ciągnie go do wagonu.

Biedny Janek! Teraz do samej Częstochowy nie dostanie nic; chyba, że może jedna lub druga mama otwórzy swój tajemniczy koszyk, w którym podobno... są bardzo, bardzo dobre rzeczy. A jeżeli nie, to trzeba jechać na głodno... Ha, trudno! różnie to bywa w podróży!

II. W Częstochowie.

Pociąg jedzie już kilka godzin, i dzieciom zaczyna się czas dłużyć. Janek raz po raz poziewa i pyta:

— Czy szybko dojedziemy do Częstochowy?

Na pytanie, powtórzone poraz może dwudziesty, pani Korwinowa, przysunawszy się do okna, odpowiada:

— Za chwilę. Patrzcie dzieci! Widać już Jasną Górę!

— Gdzie? Gdzie? — wołają dzieci i cisną się do okien. Na wielkiej płaszczyźnie, daleko, szarzeją lasy, a bliżej widać strzelistą wieżę, która zdaje się dosięgać nieba — i mury klasztorne, na górze. Pociąg mknie szybko, potem zaczyna zwalniać biegu i wjedzie w tunel, którego dzieci bardzo były ciekawe. Lecz nie zdążyło się jeszcze zrobić ciemno w wagonie, gdy już pociąg wyjeżdża na drugą stronę i za chwilę zatrzymuje się przed dworcem.

— Częstochowa! — woła konduktor.

— Wsiadamy! — komenderują rodzice.

I zaczyna się zbieranie tłumoczków i wędrówka przez peron, na którym roją się tłumy — na drugą stronę dworca, do najbliższego hotelu.

Jest dopiero czwarta, więc trzeba umyć się, oczyścić ubranie, zjeść obiad i wyruszyć na obejrzenie miasta i klasztoru, o którym dzieci słyszały i czytały już немало. Trzeba się spieszyć i nie tracić czasu, ażeby widzieć jak najwięcej dzisiaj; na jutro zostanie i tak jeszcze dużo do roboty.

Janek, który zwykle lubi marudzić, pyta:

— Czy w podróży ciągle trzeba się śpieszyć?

Ale sam śpieszy się, jak może. Tylko nie dalby sobie rady, gdyby nie Tadzio.

Tadzio od tej chwili obejmuje swoje obowiązki. Przysięgł, że będzie opiekunem małego przez cały czas pobytu zagranicą. Postanowiono to dla tego, żeby mu

odjąć chętkę do sprzeciwiania się braciszkowi, i żeby się przyzwyczajał do opieki nad młodszymi, co jest obowiązkiem starszych.

Bo na cały czas podróży mamy i ojcowie zrzekli się swoich praw. Nie będzie kar, nie będzie napomnień, ani nawet uwag, ażeby dzieci same uczyły się czuwać nad sobą, a jeżeli popełnią coś niedorzecznego, żeby same za to odpokutowały. Kto chce sobą rządzić, musi przyjąć odpowiedzialność za swoje czyny...

A na 'początek, Janek, który nie pomyślał o tem, że gąbka wydobyta z pod wagonu jest brudna, wrzucił ją do tłumoczek między kołnierzyki pogniecione już przy zbieraniu z ziemi, a teraz prócz tego zbrudzone i poplamione.

Co robić? Janek będzie musiał dać je do prania, i zapłacić ze swojej kasy. A kiedy mama nie łąje go za nieuwagę, nie będzie też poprawiała tego co spsocił. Ale uprać będzie można dopiero w Krakowie — a kołnierzyk, w którym Janek wyjechał z Warszawy, jest już brudny — nie można w nim chodzić po mieście.

(d. c. n.)

METAGRAM.

uł. Duch Puszczy dla Wieśniaczki.

Przez S, tego pełno po wsiach wszędzie,
Przez G, tego w lasach mnóstwo żyje,
I przed człowiekiem zdradnie się kryje —
Albo też synem Jakóba będzie.

ŁAMIGŁÓWKA W KWADRACIE.

uł. Tuhaj - bej.

1
.	2
.	.	3
.	.	.	4	.	.	.
.	.	.	.	5	.	.
.	6	.
.	7

W kradracie o 7-iu przedziałkach ułożyć wyrazy siedmiozłogkowe w ten sposób, aby litery oznaczone liczbami złożyły nazwę części świata. Znaczenie wyrazów:

1) Państwo w Europie. 2) Kształt kamień. 3) Rzemieślnik. 4) Drzewo iglaste. 5) Znakomity

geolog z XIX w. 6) Półwysep w Indjach. 7) Wyspa Sundzka.

Sylaby: Au—tra—ma—karz—ko—mey—ma—drzew—su—strya— a - pie—lak—mo—do—tyst—me—ka

ROZWIĄZANIA DO N-ru 14.

Zagadki: Lak — Rak — Mak — Tak.

Zadania konikowego:

Żeby kózka nie skakała

Toby nóżki nie złamała.

Z powodu braku miejsca nie możemy dziś zamieścić „Skrzynki do listów.”